James Blish

Punkt zwrotny

(Watershed)

If Worlds of Science Fiction, May 1955
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the short story "Watershed" by James Blish, first publication in If Worlds of Science Fiction, May 1955.
Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Szmery niezadowolenia – kapitan Gorbel, jako wojskowy do szpiku kości, określał je w myślach jako „nielojalności" – wśród załogi R.S.S. *Indefeasible* osiągnęły poziom, powyżej którego nie można było już ich dłużej ignorować, znacznie wcześniej zanim statek znalazł się w odległości pięćdziesięciu lat świetlnych od swojego celu.

Wcześniej czy później, pomyślał Gorbel, to idiotyczne fokopodobne stworzenie je zauważy.

Kapitan Gorbel nie był pewien, czy będzie się cieszył czy martwił, gdy Dostosowany Człowiek zorientuje się w sytuacji. W pewien sposób, uprościłoby to wiele spraw. Ale będzie to bardzo ambarasujący moment; może lepiej zamknąć się i siedzieć cały czas w szlupie ratunkowej aż do chwili kiedy Hoqqueah i pozostali Altarianie zostaną wyładowani na – jak tam ona się nazywała? – a tak, na Ziemi.

Ale załoga najwyraźniej nie miała zamiaru pozwolić Gorbelowi, aby ciągnąć to tak długo.

Co do Hoqqueaha, to zdawał się on nie posiadać w swoim mózgu ośrodka uwagi. Wyglądał na nieco zakłopotanego, będąc emocjonalnym outsiderem, rzadką i chłodną atmosferą, jaką rigeliańska załoga utrzymywała wewnątrz swojego okrętu. Bezpieczny w swoim płaszczu ciepłego sadła, przez większą część każdego dnia okrętowego, siedział w dziobowej szklarni, obserwując brązowymi, wilgotnymi, wesołymi oczyma, jak gwiazda Sol rośnie coraz bardziej na czarnym niebie, przed nimi.

I gadał. Bogowie wszystkich gwiazd jak on gadał. Kapitan Gorbel już wcześniej wiedział więcej na temat starożytnej – bardzo starożytnej – historii programu obsiewu, niż kiedykolwiek miał w ogóle ochotę się dowiedzieć. A program obsiewu nie był jedynym tematem gadaniny Hoqqueaha. Delegat Rady Kolonizacyjnej miał głębokie i wąskie wykształcenie, zawadzające w niewielkim zakresie o wiele rozmaitych obszarów specjalizacji – w przeciwieństwie do edukacji Gorbela, która szeroko obejmowała całą dziedzinę lotów kosmicznych, zaledwie dotykając wszystkich innych zagadnień.

Zdawało się, że Hoqqueah wziął sobie za ambicję przeprowadzenie programu poszerzenia horyzontów umysłowych kapitana, nie patrząc na to, czy ten ostatni chce tego, czy nie.

— Weźmy na przykład rolnictwo — mówił właśnie. — Ta planeta, którą mamy obsiać, stanowi doskonały argument, za przyjęciem długiego horyzontu czasowego dla polityki względem gospodarstw rolniczych. W większej części porośnięta była ona bujnymi dżunglami, ale ludzie zaczęli zajmować się na niej uprawą ziemi, przy wykorzystaniu ognia. I w pewnym sensie, sami siebie uśmiercili.

— W jaki sposób? — odruchowo spytał Gorbel. Powinien siedzieć cicho. Hoqqueah pójdzie za każdą, najmniejszą nawet szansą, a przecież nie

opłacało się być nieuprzejmym dla Rady Kolonizacyjnej, nawet w osobie jej przedstawiciela.

— Za swoich prehistorycznych czasów, piętnaście tysięcy lat przed ich oficjalnym rokiem zerowym, oczyszczali tereny uprawne, poprzez wypalanie. Wtedy zaczynali uprawiać rośliny, zbierali je i pozwalali by na pola wracała dżungla. Potem ponownie wypalali dżunglę i w kółko przechodzili przez cały ten cykl. Już na samym początku swojego rozwoju, tylko poprzez zastosowanie takiej formy rolnictwa, zniszczyli większość populacji zwierzyny łownej jaka żyła na Ziemi. Ponadto, metoda ta była totalnie niszcząca dla powierzchniowych warstw gleby.

— Nawet kiedy dotarli już do poziomu lotów kosmicznych, nadal ta metoda uprawy ziemi była standardem na większości pozostałych terenów porośniętych dżunglą – i to pomimo tego, że w tych czasach niemal wszędzie zaczynały już wyglądać spod ziemi gołe skały.

Hoqqueah westchnął.

— Dzisiaj, oczywiście, na Ziemi nie pozostało już nic, poza pustynią, nagimi skałami, siarczystym zimnem i rzadkim, ubogim w tlen powietrzem – i tylko tego rodzaju widoki mogłoby tam oglądać ludzkie oko, oczywiście gdyby w tym miejscu pozostali jeszcze jacyś ludzie.

Gorbel rzucił spojrzeniem na przycupniętego z tyłu porucznika Averdora, swojego adiutanta i nawigatora. Averdorowi przez cały okres podróży udało się unikać dłuższych rozmów z Hoqqueahem albo którymś z pozostałych panatropistów. Oczywiście od niego nie wymagano ponoszenia dyplomatycznych ciężarów związanych ze służbą – to był krzyż Gorbela – ale usilne uniki nawet normalnej rozmowy z fokopodobnymi ludźmi, zaczynały być już po prostu widoczne.

A jednak wyraźny rozkaz dla Averdora, aby podjął rozmowę z Dostosowanym Człowiekiem, był poza zakresem władzy Gorbela. Mógł jedynie zasugerować, aby dla dobra statku Averdor przeszedł przez kilka mechanicznych uprzejmości. Jedyną odpowiedzią było jedno z najbardziej kamiennych spojrzeń, jakie Gorbel otrzymał kiedykolwiek w życiu.

A najgorszym z tego wszystkiego był fakt, że Gorbel, jako istota ludzka, był całkowicie po stronie Averdora.

— Oczywiście, po pewnej liczbie lat warunki zmieniają się na każdej z planet — ględził poważnym tonem Hoqqueah, wymachując płetwiastą ręką. Zmierzał z powrotem do swojej podstawowej obsesji: programu obsiewu. — Jedynym logicznym rozwiązaniem jest naleganie, aby człowiek zmieniał się wraz z nimi – albo, jeśli nie jest w stanie tego zrobić, musi przesiedlić się gdzie indziej. Przypuśćmy, że ludzie skolonizowaliby tylko planety typu ziemskiego. Nawet one nie pozostaną podobne do Ziemi na zawsze, nie w sensie biologicznym.

— Przede wszystkim, dlaczego mielibyśmy ograniczać się akurat do planet typu ziemskiego? — spytał Gorbel. — Nie wiem zbyt wiele o tym miejscu, ale zgodnie z tym co mówią specyfikacje, nie jest to chyba optymalna planeta.

— Może pan być pewien — odparł Hoqqueah, aczkolwiek jak zwykle Gorbel nie wiedział z którą częścią jego komentarza Hoqqueah się zgadzał. — Przywiązanie na zawsze jakiekolwiek rasy do jednego zestawu

specyfikacji, nie ma sensu z punktu widzenia jej przetrwania. Jedynym sensownym wyjściem jest ewoluować razem ze wszechświatem, aby uniezależnić się od takich kwestii jak starzenie się planet, czy eksplozje ich gwiazd. Ludzie istnieją obecnie w tak wielu postaciach, że zawsze znajdzie się gdzieś jakieś miejsce schronienia dla każdej grupy zagrożonych ludzi. To wielkie osiągnięcie – w porównaniu do tego, jaką wartość mają te stare argumenty o niezastąpionym charakterze formy?

— Tak, naprawdę? — powiedział Gorbel, ale wewnątrz głowy drugie ja mówiło: Acha, pomimo wszystko, wyczuwa wrogość. Kiedy ktoś już jest Dostosowanym Człowiekiem, to zawsze będzie Dostosowanym Człowiekiem – i zawsze będzie walczył o równość z ludźmi o formie podstawowej. Lecz to i tak nic nie da, ty biurokrato o pysku foki. Możesz sobie gardłować przez resztę życia, ale twoje wąsy zawsze będą się trzęsły, kiedy gadasz.

Ale, oczywiście, nigdy nie przestaniesz gadać.

— A pan, jako wojskowy, panie kapitanie, powinien pierwszy docenić płynące z tego korzyści — żarliwie dorzucił Hoqqueah. — Wykorzystując panatropię, ludzkość przejęła tysiące planet, które w innym przypadku byłyby dla niej niezdatne. Dzięki temu procesowi mogła ona zająć większość galaktyki, nie kradnąc planet należących do innych. Przejęcie bez wywłaszczenia, bez rozlewu krwi. A jednak, jeżeli jakaś rasa, inna niż ludzkość rozwinęłaby w sobie imperialne ambicje i próbowałaby przejąć nasze planety, stanie ona wobec ogromnej przewagi liczebnej.

— To prawda — stwierdził kapitan Gorbel, czując wbrew samemu sobie zainteresowanie. — W dodatku pewnie jest to sprawiedliwe, ponieważ opracowaliśmy tę metodę, zanim ktokolwiek inny o niej pomyślał. Ale jak to się stało, że to my? Wydaje mi się, że pierwszą rasą, która wynajdzie coś takiego, powinna być rasa, która już to miała – jeżeli nadąża pan za moimi myślami.

— Nie całkiem, panie kapitanie. Czy może pan dać jakiś przykład…?

— No dobrze. Okryliśmy kiedyś układ, w którym żyła rasa zajmująca dwie odmienne planety, ale nie w tym samym czasie, tylko jedną wcześniej, a drugą później — opowiadał Gorbel. — W ich cyklu życiowym, występowały trzy różne formy. W pierwszej zimowali na zewnętrznej planecie. Potem zmieniali formę na inną, w której mogli pokonać przestrzeń kosmiczną bez pomocy statków, i spędzali resztę roku na planecie wewnętrznej, w trzeciej postaci. Następnie wracali do drugiej formy i lecieli z powrotem na planetę chłodniejszą.

— Trudno to wszystko opisać. Ale generalnie chodzi o to, że oni tego nie musieli w żaden sposób wypracowywać; to było dla nich naturalne. W taki sposób wyewoluowali. — Ponownie popatrzył na Averdora. — W okolicach pory rojenia, nawigacja stawała się tam trudna.

Averdor nie chwycił jednak przynęty.

— Rozumiem; uwaga jest całkiem słuszna — stwierdził Hoqqueah, przytakując głową, z groteskowym zamyśleniem. — Ale, panie kapitanie, niech mi będzie wolno zauważyć, że możliwość dokonania pewnej rzeczy, nie sprzyja myśleniu o niej, jako o pewnym procesie, który można i należy udoskonalić. Och, ja również widziałem rasy podobne do tej, jaką pan

opisywał – rasy wysoce polimorficzne, ze zmianą płci w obrębie jednego pokolenia, przekształceniami typu występujących w cyklu życiowym owadów, i tak dalej. Ale czemu któraś z nich miałaby potraktować temat zmiany postaci jako coś nadzwyczajnego, o co należy zadbać? Pomimo wszystko byłby to jeden z powszednich elementów ich życia.

W szklarni zabrzmiał niewielki dzwonek Hoqqueah natychmiast wstał, jednym precyzyjnym i niemal pełnym wdzięku ruchem, pomimo swego baryłkowatego ciała.

— A więc, minął kolejny dzień – oświadczył radosnym tonem. — Dziękuję panu za uprzejmość, panie kapitanie.

Poczłapał do siebie. Oczywiście, wróci tutaj jutro.

I następnego dnia także.

I również kolejnego, chyba że wcześniej marynarze wytarzają tę całą bandę w smole i pierzu.

Gdyby tylko, pomyślał z roztargnieniem Gorbel, ci przeklęci Dostosowani nie byli tacy skorzy do wykorzystywania swoich przywilejów! Jako delegat Rady Kolonizacyjnej Hoqqueah był ważną osobą, i nie można mu było zabronić wchodzenia do szklarni, poza sytuacjami alarmowymi. Ale czy ten człowiek nie zdawał sobie sprawy, że nie powinien nadużywać tego przywileju na statku obsadzonym przez ludzi w formie podstawowej, którym do szklarni w ogóle nie wolno wchodzić bez wyraźnego rozkazu?

A reszta tych panatropistów, była równie głupia. Jako pasażerowie, mogli wejść na statku niemal w każde miejsce, do którego miała dostęp załoga – i robili to, nieustannie i hardo, tak jakby poruszali się pomiędzy równymi sobie. Z prawnego punktu widzenia, rzeczywiście nimi byli – ale czy nikt z nich nie słyszał o czymś takim jak uprzedzenia? A przecież wśród zwykłych marynarzy uprzedzenia – względem wszystkich Dostosowanych Ludzi – zawsze wyrastały w pobliże poziomu cienkiej linii graniczącej z nienawiścią.

Rozległ się cichy szum elektrycznego fotela Averdora, który odwrócił się twarzą do kapitana. Jak u większości rigeliańskich mężczyzn, twarz porucznika była szczupła i surowa, a światło gwiazd w szklarni, nie przyczyniało się w żaden sposób do jej zmiękczenia. Dla kapitana Gorbela, była ona jednak znajoma, aż do ostatniej zmarszczki. Teraz wyglądała szczególnie ponuro.

— O co chodzi? — powiedział.

— Wydaje mi się, panie kapitanie, że tym razem ma pan już tego wybryku natury po dziurki w nosie — rozpoczął Averdor bez żadnych wstępów. — Coś trzeba z tym zrobić, zanim załoga zacznie być tak szorstka, że będziemy musieli zacząć wydawać wyroki aresztu.

— Nie lubię tych „mędrków” równie mocno, jak pan — odparł ponuro Gorbel. — Ale ten człowiek jest delegatem Rady. Ma prawo tutaj przebywać, jeśli tylko ma na to ochotę.

— Może pan zabronić mu wstępu do szklarni, w razie niebezpieczeństwa…

— Nie widzę tu żadnego niebezpieczeństwa — sztywno zauważył Gorbel.

— To bardzo groźna część galaktyki – a w każdym bądź razie, potencjalnie. Ta leżąca przed nami gwiazda ma dziewięć planet, poza tą, na której mamy lądować, i sam już nie wiem ile różnego rodzaju satelitów o rozmiarach planetarnych. Przypuśćmy, że ktoś straci rozum i spróbuje na nas uderzyć, kiedy będziemy przelatywać w pobliżu?

Gorbel zmarszczył brwi.

— To proszenie się o kłopoty. Poza tym cały ten obszar został ostatnio przebadany – co najmniej raz – inaczej by nas tutaj w ogóle nie było.

— Przebadany bardzo pobieżnie. Nadal rozsądnie byłoby podjąć odpowiednie środki zabezpieczające. Jeżeli pojawią się jakieś problemy, wiele z Komisji Śledczych, określiłoby jako ryzykowne, zezwolenie na pobyt w szklarni, niegodnym zaufania istotom ludzkim drugiej kategorii.

— Mówi pan nonsensy.

— Do diabła, panie kapitanie, niech pan choćby przez chwilę spróbuje czytać między wierszami — szorstko rzucił Averdor. — Wiem równie dobrze jak pan, że nie będzie żadnych problemów, z którymi byśmy sobie nie potrafili poradzić. A gdyby takie się pojawiły, żadna komisja śledcza, nie będzie zgłaszać podobnych pretensji. Po prostu usiłuję dostarczyć panu wymówki, której użyje pan wobec fok.

— Słucham.

— Dobrze. *Indefeasible* jest najporządniejszym statkiem w Marynarce Rigeliańskiej, nasze rejestry są czyste jak łza, a morale załogi stało się niemal legendą. Nie możemy sobie pozwolić na wsadzanie do paki ludzi za ich osobiste uprzedzenia – a z tym musimy się liczyć, jeśli te foki doprowadzą ich do złamania dyscypliny.

— Już słyszę siebie, wyjaśniającego to Hoqqueahowi.

— Nie musi pan tego robić — zawzięcie stwierdził Averdor. — Po prostu powie mu pan, że do czasu lądowania, wprowadza pan na statku stan podwyższonej gotowości. A to oznacza, że zespół panatropistów, jako pasażerowie, będzie musiał pozostać w swoich kwaterach. To całkiem proste.

To naprawdę było proste, tak. I zdecydowanie kuszące.

— Nie podoba mi się to — zastanawiał się Gorbel. — Hoqqueah może być sobie mędrkiem, ale nie jest też skończonym durniem. Łatwo to przejrzy.

Averdor wzruszył ramionami.

— To pan jest dowódcą — odparł. — Nie za bardzo widzę, co on mógłby z tym zrobić. Jedyne co mógłby napisać w raporcie dla Rady, to tylko mętne podejrzenia. A oni prawdopodobnie by je odrzucili. Wszyscy wiedzą, że te typy drugiej kategorii, łatwo rzucają oskarżenia, że są prześladowane.

— Rozumiem, co pan miał na myśli — powiedział Gorbel. — No dobrze, pomyślę o tym.

Jednak następnego dnia, kiedy Hoqqueah wrócił do szklarni, Gorbel jeszcze nie podjął decyzji. Fakt, że jego osobiste uczucia leżały po stronie

Averdora i załogi, uczynił go podejrzliwym wobec „prostego” rozwiązania zaproponowanego przez porucznika. Plan był na tyle kuszący, że mógł oślepić człowieka, powodując przegapienie, w innym przypadku oczywistych, wad.

Dostosowany Człowiek usiadł sobie wygodnie i wyglądał na zewnątrz przez poszycie z przezroczystego metalu.

— Ach — powiedział. — Nasz cel robi się coraz większy, co, panie kapitanie? Proszę pomyśleć: za kilka dni od dzisiaj, znajdziemy się – w historycznym sensie – z powrotem w domu.

A teraz jakieś zagadki!

— Co pan przez to rozumie? — spytał Gorbel.

— Przepraszam. Myślałem, że pan wie. Ziemia jest ojczystą planetą ludzkiej rasy, panie kapitanie. To właśnie tutaj wyewoluowała forma podstawowa.

Gorbel uważnie zastanawiał się na tym nieoczekiwanie zdobytym okruchem informacji. Nawet przyjmując, że była to prawda – a prawdopodobnie Hoqqueah powinien wiedzieć takie rzeczy o przydzielonej mu planecie – nie wydawało się to jakoś specjalnie zmieniać całej sytuacji. Ale Hoqqueah, oczywiście, nie przekazał mu tego bez jakiegoś specjalnego powodu. No cóż, wkrótce pewnie sam ten powód wyciągnie; Altarianom można zarzucić różne rzeczy, ale nie małomówność.

— Tak, to tam wszystko się zaczęło — mówił dalej Hoqqueah. — Oczywiście, początkowo tym ludziom nawet nie przyszło do głowy, że mogą tworzyć pre-adaptowane dzieci. Zamiast tego popadali w różnego rodzaju skrajności, aby dostosować do siebie środowisko, albo zabrać je ze sobą w kosmos. W końcu jednak zdali sobie sprawę z tego, że w przypadku planet, tego rodzaju system będzie nieskuteczny. Nie można przecież spędzić całego swojego życia w skafandrze kosmicznym czy też pod jakąś kopułą.

— Poza tym, problemy z formą mieli w swoim społeczeństwie już od zarania dziejów. Przez całe stulecia byli niesamowicie czuli na drobne różnice w kolorze i kształcie ciała, a nawet w sposobie myślenia. Reżim po reżimie próbowały narzucić wszystkim swoją własną koncepcję standardowego obywatela i zniewolić tych, którzy do tej specyfikacji nie pasowali.

Nagle paplanina Hoqqueaha zaczęła powodować, że Gorbel poczuł się niezręcznie. Z każdą chwilą coraz łatwiej przychodziło mu sympatyzować z determinacją Averdora w kompletnym ignorowaniu istnienia Dostosowanego Człowieka.

— Dopiero w czasach tuż po tym, kiedy boleśnie nauczyli się, że tego rodzaju różnice naprawdę nie mają znaczenia, mogli wpaść na pomysł panatropii — kontynuował Hoqqueah. — To był logiczny wniosek. Oczywiście, pewna ciągłość formy musiała być zachowana, i zachowano ją aż do dnia dzisiejszego. Nie można całkowicie zmienić postaci, bez całkowitej zmiany procesów myślowych. Jeśli nada się człowiekowi formę karalucha, jak to przewidział jeden ze starożytnych pisarzy, zacznie on myśleć jak karaluch, a nie jak istota ludzka. Uznajemy to. Na planetach, na których jedynie ekstremalne modyfikacje formy człowieka, czyniłyby je

możliwymi do zasiedlenia – na przykład na planetach typu gazowych olbrzymów – nie podejmuje się prób obsiania. Rada utrzymuje, że takie planety są potencjalną własnością ras innych niż ludzka, których typy psychologiczne nie wymagałyby podjęcia radykalnych zmian, w celu przeżycia na nich.

Mgliście, kapitan Gorbel, widział dokąd Hoqqueah chce go doprowadzić. Człowiek-foka w swój oszałamiająco pośredni sposób, argumentował za swoimi prawami do uznania go równym, zarówno w sensie faktycznym jak i prawnym. Jednak argumentował za tym przy pomocy faktów, których poprawność tylko on sam potrafił ocenić i których istotność tylko on sam mógł osądzić. Krótko mówiąc, próbował go wpuścić w maliny i ostatnie resztki tolerancji Gorbela, szybko topniały.

— Oczywiście, początkowo w przeszłości, był pewien opór — powiedział Hoqqueah. — Umysły rodzaju tych, które dopiero niedawno zostały przekonane, że ludzie z melaniną w skórze są istotami ludzkimi, były bardzo skore do przyjęcia nastawienia, iż Dostosowany Człowiek – jakikolwiek Dostosowany Człowiek – był pod względem społecznym niższy od „pierwotnego" lub podstawowego typu ludzkiego, typu który zamieszkiwał Ziemię.

— Widzi pan, panie kapitanie, dopóki to wszystko mogło być jeszcze zatrzymane, możliwe było zachowanie tej postawy, tego przekonania, że zmiana formy, nawet częściowa, czyni człowieka w mniejszym stopniu ludzkim niż w stanie „pierwotnym". Nadszedł jednak dzień, w którym twierdzenie takie jest już nie do obrony, dzień który jest jednym z największych moralnych punktów zwrotnych naszej rasy, dzień w którym nastąpi scalenie wszystkich naszych rozbieżnych nurtów w stosunkach między nami, w jedno wspólne morze braterstwa i zamiarów. Pan i ja mamy to szczęście, że jesteśmy na scenie w takim miejscu, by to ujrzeć.

— Bardzo interesujące — zimno oświadczył Gorbel. — Ale to wszystko wydarzyło się już bardzo dawno temu i w dzisiejszych czasach niewiele wiemy o tej części galaktyki. W pewnych okolicznościach – które znajdzie pan jasno i wyraźnie wyszczególnione w dzienniku okrętowym, razem z odpowiednimi przepisami prawnymi, na których się opieram – począwszy od jutra aż do wyładowania pańskiego zespołu, zmuszony jestem do postawienia statku w stan podwyższonej gotowości. Obawiam się, że konsekwencji oznacza to, iż wszyscy pasażerowie zobowiązani będą do pozostania w swoich kwaterach.

Hoqqueah odwrócił się i wstał. Jego oczy były ciągle ciepłe i wilgotne, ale już nie było w nich nawet śladu radości.

— Wiem dobrze, co to oznacza — oznajmił. — I do jakiegoś stopnia rozumiem potrzebę – chociaż miałem nadzieję, na pierwsze spojrzenie na planetę naszych narodzin, jeszcze z kosmosu. Nie wydaje mi się jednak, żeby pan mnie do końca zrozumiał, panie kapitanie. Moralny punkt zwrotny, o którym mówiłem, nie leży w przeszłości. Chodzi o czasy dzisiejsze. Rozpoczyna go dzień, w którym Ziemia stała się niezdatną do zamieszkania dla tak zwanego podstawowego typu ludzkiego. Spływ kolejnych nurtów do wspólnego morza, stanie się coraz większy i większy, w miarę jak po galaktyce będzie rozchodzić się wieść o obsianiu Ziemi

przed Dostosowanych Ludzi. Taka wiadomość wywoła szok zrozumienia – szok uświadomienia sobie, że ludzie typu „podstawowego" są dzisiaj, i były już od długiego czasu, bardzo niewielką mniejszością, pomimo swoich pretensji.

Czyżby Hoqqueah na tyle popadł w opary absurdu, aby mu grozić? – nieuzbrojony, komiczny człowiek-foka, wygrażający pięścią kapitanowi *Indefeasible*? Albo…

— Zanim sobie pójdę, proszę mi pozwolić na zadanie jeszcze jednego pytanie, panie kapitanie. Tam, w dole, jest pańska ojczysta planeta, zaś mój zespół i ja wkrótce udamy się na jej powierzchnię. Czy ośmieli się pan podążyć ze statku za nami?

— Dlaczego miałbym to robić? — spytał Gorbel.

— Dlatego, by pokazać wyższość typu podstawowego, panie kapitanie — miękko odparł Hoqqueah. — Z pewnością nie będzie chciał pan przyznać, że stado ludzi-fok może być od pana lepsze na ziemi pańskich przodków!

Ukłonił się i ruszył do drzwi. Tuż przed nimi stanął, odwrócił się i popatrzył badawczo na Gorbela i porucznika Averdora, który spoglądał za nim z wyrazem powstrzymywanej furii na twarzy.

— Albo będzie pan chciał? — rzekł. — To będzie ciekawe widzieć jak zdołacie pogodzić się z sytuacją mniejszości. Myślę, że brak jest wam praktyki.

Wyszedł. Zarówno Gorbel, jak i Averdor jednym zgodnym ruchem odwrócili się do ekranu i Gorbel go włączył. Obraz powiększył się, ustabilizował i znieruchomiał.

Kiedy następna zmiana przyszła na wachtę, obaj mężczyźni ciągle jeszcze wpatrywali się w ogromną, najeżoną skałami pustynię Ziemi.

KONIEC